



Zofia Rontaler

Pożegnanie z latem

Janeczka usiadła na skraju lasu, aby trochę odpocząć. Nazbierała już pełny koszyk szyszek i zmęczona była tym nieustannym schylaniem się. A w domu czekała ją robota — powinna była wracać. Ale dzień był tak piękny, że możnaby tak siedzieć godzinami, patrząc na blade niebo, żółto zielone pola i na drzewa o czerwieniących się liściach.

Janeczka siedziała w głębokim zamyśleniu, oparłszy główkę na rękach, gdy wtem jakiś szelest wyrwał ją z zadumy. Polem w kierunku lasu posuwała się wysoka postać. Piękna, bardzo piękna pani ubrana w zieloną powiewną szatę, w wienku z kwiatów na złotych włosach szła lekkiem, tanecznym krokiem, uśmiechając się ze smutkiem.

Gdy była już zupełnie blisko, Janeczka wstała z mchu, ukloniła się grzecznie i zapytała:

— Kim jesteś o piękna pani? Nie widziałam jeszcze nigdy w życiu tak cudownej istoty!

— Jestem latem — odpowiedziała piękna pani — kończy się już moje panowanie. Odchodzę. Nie jestem już piękna, Na przyszły rok przyjdę znowu młoda i świeża.

— Dlaczego nie możesz zostać z nami dłużej, dlaczego nie możesz zostać z nami na zawsze? spytała Janeczka.

— Bo po prostu, dziewczynko, widzisz — oto nadchodzi już jesień. Widzisz? właśnie z lasu.

Janeczka rzeczywiście zobaczyła jak z lasu wychodziła również piękna, ale inaczej niż lato, jesień w sukni z żółtych i czerwonych liści, z długimi sznurami jarzębinowych korali na szyi.

Jesień zbliżyła się do lata, podały sobie ręce na powitanie. I wtedy Janeczka znowu spytała:

— Dlaczego jesień przynosi smutek i strąca liście z drzew? Dlaczego ogalaca pola i każe słońcu coraz wcześniej zachodzić. Dlaczego jesieni jesteś taka niedobra?

Jesień uśmiechnęła się smutnie a jej towarzyszka — lato powiedziała:

— Gdyby zawsze było wesoło i pogodnie ludzie przestaliby oceniać wartość i wartość pogody. A zresztą lasy i pola muszą odpocząć — później przyjdzie zima, a jesień ustąpi. Pola będą spały pod kołderką śniegową.

Zrozum dziecko, że wszystko ma swoje miejsce i swoją porę na świecie, nie należy próbować zmieniać porządku rzeczy.

Jesień podała siostrze latu dłoń — tym razem na pożegnanie. Piękna pani w zielonej szacie odeszła, pożegnawszy uśmiechem pola, lasy i w końcu Janeczkę.

Jesień zaczęła swe królowanie.

I Janeczka zrozumiała, że odwiecznego porządku rzeczy nikt nie odmieni — że wszystko przemija, aby znowu powrócić piękniejsze i nowe.

Zofia Rontaler

O Matce i dzieciach

Hen daleko stąd, daleko, gdzieś za siódmą górą, rzeką, za morzami za górami, za lasami, dolinami stała sobie mała chatka. W niej mieszkała dobra matka, która wiele miała dzieci. Miło było im na świecie żyć wśród pracy i zabawy. Dzieci zwały się: Warszawa, Wilno, Lwów, Łódź, Poznań, Kraków. Wiele mniejszych też dzieciaków przy tych starszych wyrosło. Choć rodzeństwo się kochało, ale kiedyś dnia pewnego, pochmurnego, deszczowego, posprzeczało się okrutnie. Co powodem było kłótni? Oto chciało się dowiedzieć, które to ze wszystkich dzieci matka kocha najgoręcej, najserdeczniej i najwięcej.

— Jam — rzekł Kraków — najmądrzejszy jest ze wszystkich tu zebranych. Ja pamiętam doskonale historycznych tyle dat!

Na Wawelu strzegę prochy polskich królów pochowanych
I Wszechnica Jagiellońska słynna jest na cały świat.

„Miłym miastem“ za to każdy — rzecze Wilno — mnie nazywa
Bowiem Wielki nasz Marszałek tak mnie ozchrcił sam,

Jego Serce też na Rossie u mnie właśnie dziś spoczywa

Ja najwięcej starych świątyn i kościołów pięknych mam.

I Zamkowa Góra moja wiecznie śni o Gedyminie,

Otoczona wstęgą Wilii, co u stóp jej cicho płynie.

— Ta joj! Nie chwal się braciszku! I nie bądź tak bardzo ważny!

— Tak zawołał trzeci z braci — bom i ja niegorszy znow,

Wszyscy wiedzą o mnie ludzie, żem wesoly i odważny,

Każdy się uśmiecha, słysząc moje krótkie imię Lwów,

Panoramę Raclawicką, dzielnych Orłąt piękny cmentarz

I park stary Kilińskiego, może sobie zapamiętasz.

Tutaj siostra się wtrąciła, której „Łódź“ na imię dano:

— Wy o pięknie swym mówicie, a ja na to powiem wam,

że bogatym być potrzeba na to, aby was kochano

A bogactwo naszej matce ja jedyna tylko dam.

U mnie przemysł się rozwija, fabrycznego godzien miasta

I kominów coraz większych aż pod niebo las wyrasta.

— Ale brudna, zakopcona, jesteście za to nasza siostra

A ja cenię przede wszystkim wielką czystość, wielki ład.

No, porównaj siebie ze mną — odpowie dział Poznań ostro.

Ja ze swych czystych ulic jestem najzupełniej rad.

— No nie kłóćcie się tak bardzo — roześmiała się Warszawa

Przecież matka nasza kocha spośród wszystkich tylko mnie

Jam potężna, najsilniejsza i największa moja sława

Wszyscy znają Stare Miasto, Zamek, lub Łazienki me.

Wielkie gmachy, ładne sklepy, nowoczesne mam ulice.

Słusznie szczyć się Polacy mogą piękną swą stolicą.

Spór ich coraz jest gorętszy, coraz gorszy i zawziętszy; mniejsze dzieci już nie śmieją nawet nikłej mieć nadziei, że im także będzie można wtrącić słówko choć z ostrożna. W końcu jednak uradzono i wspólnie postanowiono wprost do matki się odwołać, na sędziego ją powołać. Niechaj sama powie szczerze, które z dzieci swych wybierze. Szybko do niej pośpieszają, o kłótni opowiadają, oczekując z niepokojem, co też matka im odpowie.

— Dzieci moje — rzecze Ona —

niepotrzebnie się spieracie

I na kłótnie między sobą marujecie tylko czas.

Proszę tylko spójrzcie tutaj, na mój portret, który znacie.

Portret mapą się nazywa, wie to dobrze każdy z was.

Patrzcie oto napisano tutaj „Polska“ jest wyraźnie

I czerwoną grubą linią oznaczono ślad

Czy widzicie to dokładnie?

— Tak, widzimy mam, właśnie

Te granice oddzielają od nas obecny wielki świat.

— Pańszcze dalej co wam kształtem swoim
Polska przypomina?

I do czego jest podobna, gdy się
przyjrzeć chcecie jej?

— Serce, mamó, to jest serce! — dzieci
chórem zawołały

Uśmiechając się do siebie i do drogiej
matki swej.

— Tak kochani, więc widzicie, że zbytecz-
ne były troski.

Ja was wszystkich jednakowo tu ogarniam
sercem swym

Wszystkie miasta i miasteczka, wszystkie
nawet małe wioski

Są dla serca tego drogie, mają miejsce
swoje w nim.

Irena Tomska

Co mówiły krasnoludki?

W starej ponurej kamienicy, wysoko,
tuż pod dachem mieszkał młody i bardzo
biedny profesor.

Izdebkę miał malutką, nędznie urzą-
dzoną, zimną i nieprzytulną. Ale wyglą-
dała jak malutka biblioteka. Wszędzie,
na krzywej półce, beznogim krześle, na
podłodze leżały książki, małe, wielkie i
ogromne.

Profesor Marek Jacewicz bardzo ko-
chał książki i dzieci. I właśnie przez tę
miłość był taki biedny. Wszystkie zaró-
bione pieniądze wydawał na książki, i na
swych małych pupilów. Dlatego też cho-
dził w podszytej wiatrem paltocinie i
mocno wysłużonych butach, ale w oczach
nosił słońce a w sercu radość. A gdy wie-
czorem, cisza spowiła wielkie miasto, gdy
w domach pogasły światła, wysoko w ma-
lutkim pokoiku na strychu, przy świeczce
łojowej pracował pan profesor.

Co pan robił? Tak późno...

Pisał bajki. Cudne bajki o złotowłó-
sych królewnach, o skarbach zaklętych,
o jakichś krajach dziwnych, gdzie nigdy
smutek nie gości i wszyscy są szczęśliwi.
Pisał też bajki o miłych zwierzątkach i
krasnoludkach dobrze ludziom czynią-
cych, o duszach zaczarowanych i o wszyst-
kim co piękne, dobre i radosne.

Kiedyś pan profesor bardzo długo w
nocy pracował. Zmęczony, już nad ranem
położył się spać i zdawało mu się, że led-
wo chwilę drzemał a tu diiiiii! — i prze-
rażliwy dzwonek budzika przypomniał
mu, że trzeba wstawać.

Leżał jeszcze chwileczkę z zamknięty-
mi oczami i myślał, że trzeba jeszcze buty
oczyścić, bo wezorał był deszcz i błoto a
dziś piękna pogoda więc nie można cho-
dzić jak brudas, że należy pastą posma-
rować popękane szwy, a zdaje się, że pa-
sty nie ma, kiedy nagle posłyszał cichutki
śpiew: Dalej, rażno krasnoludki,

wyczyścim panu butki,
łupu-cupu, w lewo, w prawo
trza robotę spełnić żwawo.

Zdumiony patrzy w kąt pokoju skąd
płynię śpiew i oczom nie wierzy. Kilku

malusieńkich krasnoludków z zapalem
czyści i pucuje mu buty. A zwijają się,
a podśpiewują przy tym! Czerwone cza-
peczki pozsuwały się im na tył główek,
kręcąc się dookoła wielkich butów, a w
rączkach mają malusieńkie szczoteczki,
jakieś rylce, gałganki.

Zobaczyły, że pan profesor już nie śpi,
więc grzecznie pozdejnowały czapeczki i
uśmiechają się na dzień dobry.

— A wy skąd tutaj? — pyta krasno-
ludków profesor.

Wystąpił naprzód najstarszy, niziutko
się uklonił i tak rzecze:

— Przyszliśmy z zaczarowanego lasu,
z krainy wiary i radości. Uciekłyśmy tam
z waszego świata, odkąd dzieci przestały
w nas wierzyć i kochać. W dobie postępu
i motoryzacji nie bawią już ludzi nasze
śpiewki i niewinne figielki. Stały-
śmy się niepotrzebne więc skryłyśmy się
w głębi dziwnego boru i czekałyśmy aż
nas przywoła czyjaś tęsknota i w czyimś
sercu ożyje wiara w nas.

Profesorze kochany, przyszliśmy tu do
ciebie, bo ty w nas wierzysz i o nas w
swych bajkach opowiadasz dzieciom. Przy-
szłyśmy, by ci za to podziękować i służyć
wiernie. I przyszłyśmy też prosić cię, byś
powiedział dzieciom, że je kochamy, te-
sknimy za nimi i że chciałybyśmy do nich
wrócić, by się z nimi razem cieszyć i smu-
cić. Powiedz im więc proszę, niech otwo-
rzą swoje malutkie serduszka by mogła
weń wstąpić królowa baśni i niech uwie-
rzą w rzeczy cudowne i fantastyczne. To
daje tyle radości! Powiedz im, że naj-
większe szczęście daje wiara czerpana z
własnego serca i że w życiu nigdy nie
może być tak pięknie, jak w skrzydlatej
krainie marzeń. A jeśli uwierzą — wtedy
my wrócimy i zobaczysz, jak dzieciom bę-
dzie dobrze z nami.

*

Mój przyjaciel, profesor Marek Jace-
wicz o tym wszystkim mi opowiedział a ja
wam to powtarzam dzieci. Czy chciały-
byście by powróciły krasnoludki? bo ja
— bardzo.

Zofia Starzyńska



193
Proszę: To tam także macie te same miny, kształty obsadziste i sute czupryny. Kiedy tak, to naści trzy piórka głuszcowe, abyś nimi pięknie przystroiła głowę! —



194
Pyza piórka wzięła, głowę przystroiła i szukać noclegu przed się wyruszyła, bowiem po igraszkach na losiowych rogach była już znużona, wędrowna nieboga.



195
Usnęła w wiklinach w miękkim próchnie lśniącym. Świeciła piórkami pod wielkim księżycem. Po moczarach w czółnie rybacy płynęli — Dla Boga, a to co? — Na głos wykrzyknęli.

Jak Pyza



196
świecą się na próchnie pióreczka głuszcowe, świeci barwna kiecka. Oczy... kocie? Coś tam siedzi w kucki. Nóżki pod się wtula. Dłaboga, rybacy! Przecie to Pyzula!

Zmartwi

Tego roku Ewa miała po raz pierwszy iść do szkoły. Cieszyła się tym bardzo. Cieszyła się nowymi książkami, zeszytami, ołówkami, piórami, własną teczką, szkolnym fartuszkim i berecikim ze znaczkiem.

Czekała tylko chwili, gdy mamusia zaprowadzi ją do szkoły. A później pójdą kupować różne piękne rzeczy. Ale mamusia powiedziała pewnego sierpniowego popołudnia:

— Bardzo mi przykro Ewuniu, ale tatuś nie ma pieniędzy i niestety nie będziesz mogła w tym roku pójść do szkoły. Wiesz, że tatuś stracił pracę, a przecież starsze rodzeństwo które już zaczęło chodzić do szkoły nie może przerwać nauki. Poczekasz jeszcze rok, a może wtedy będzie nam łatwiej i będziesz mogła pójść do szkoły.

Ewa rozplakała się, chlipała długo w łokciu, aż w końcu powiedziała do siebie:

— Przecież płacz nic mi nie pomoże. Trzeba coś poradzić:

I zaczęła się zastanawiać.

Poszła do sklepu, gdzie sprzedawano materiały piśmienne i zapytała czy nie jest potrzebna dziewczynka do roznoszenia paczek. Powiedziano jej, że nie. Po-

wędrowała



Witaj, że nam, witaj na poleskich wodach!
Patrz, pluszczą się rybki w szerokich
niewodach.

Świta: szumią krzewy, wonieją konwalie,
olszyny, brzeziny, sosny i azalie

enie Ewy

szła dalej. W następnych dwu sklepach
powiedziano jej to samo. Aż w końcu w
jakimś niedużym sklepie zainteresowano
się Ewunią.

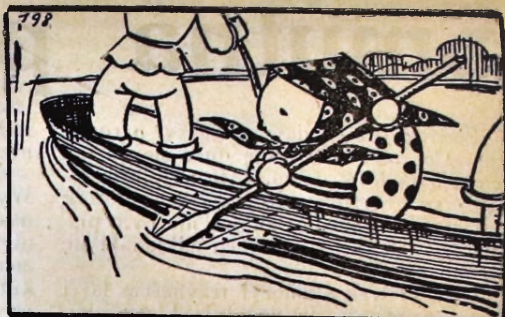
Cały dzień roznosiła paczki po mieście,
a wieczorem dostawała za to śliczny piórnik,
paczkę zeszytów, ołówek i pióro. Uszczę-
śliwiona wróciła do domu:

— Teraz jeszcze książki, teczka, fartu-
szek i berecik — powiedziała do mamusi.

I znowu zaczęła zastanawiać się, jakby
tu sobie poradzić. Tymczasem mamusia
opowiedziała pani doktorowej, u której
właśnie prała, jaką to dzielną ma córeczkę.

Pani doktorowa zawołała Ewkę do sie-
bie i dała jej wszystkie stare książki
szkolne swojej córeczki, teczkę, fartu-
szek, berecik i nawet nowe, śliczne pan-
tofle. Ale Ewunia nie chciała wziąć tych
pięknych rzeczy ot tak za nic — podzię-
kowała, bardzo uprzejmie i powiedziała,
że owszem weźmie to wszystko, jeśli pani
doktorowa pozwoli jej zapłacić za to
pracą.

Pani doktorowa ucałowała Ewkę ser-
decznie i powiedziała: — Już się nie bój,
postaram się, abyś w jakiś sposób mogła
się nam przysłużyć. Zresztą jesteś taka
dzielna, że już za to należy ci się nagroda.



Uderza Pyzula o nurt rzeczny wiosłem:
— wody miłe wody, dokąd mnieście
zniosły?
Kanał Ogińskiego, Niemen, kanał, Wisła...
o wislaną falę Pyza wiosłem przysła.



Flisaki, flisaki: Niebo jest pogodne,
niebo jest błękitne, błyszczą fale wodne.
Wisła w morze płynie i do morza zmierza,
lecz Pyza żegluję do wzgórz Kazimierza.



Minęła Puławy, na zamek patrzyła,
w Kazimierzu jabłka w sadach zajaśniała.
Z starą, miłą sową na wzgórzu w ruinach
gadała o swoich wędrownych wyczynach.

Smutna przygoda

Pietrek już od dawna marzył o rowerze. Co roku na wiosnę dużo się na ten temat mówiło w domu. Ale najpierw rodzice stanowczo twierdzili, że Pietrek jest za mały, później znowu nie było pieniędzy i tak sprawa roweru odkładała się z roku na rok.

Gdy Pietrek skończył trzynaście lat i dostał promocję do drugiej klasy gimnazjalnej, ojciec powiedział:

— No w tym roku na pewno dostaniesz rower, Piotrusiu. I wiesz, ja też kupię sobie rower i razem pojedziemy na jakąś bardzo ładną wycieczkę.

Pietrek strasznie się ucieszył i o niczym innym nie potrafił już myśleć, jak tylko o wymarzonem rowerze. Nie obeszło się jednak bez pewnych trudności. Gdy matka dowiedziała się, że Pietrek zamierza jeździć na rowerze po mieście, zaczęła przekonywać ojca, aby kupno roweru odłożył jeszcze na rok. Zaczęły się długie rozmowy, tłumaczenia. Pietrek był w rozpacz, myślał, że znowu nic z tego wazystkiego nie będzie. Ale ojciec powiedział:

— Uważam, że Piotr jest już dość duży, aby mieć rower. Powiedzmy, że na razie nie będzie jeździł po bardzo ruchliwych dzielnicach miasta.

No i w końcu piękny, czarny, lśniący rower przywędrował do domu. Trudno opisać radość Pietra. Budził się w nocy, wstawał i szedł do przedpokoju, aby się upewnić, że nikt roweru nie zabrał i że to nie jest sen.

Piękna wycieczka rowerem nie doszła jednak do skutku. Ojciec nie miał dość pieniędzy, aby i sobie kupić rower. A więc do Krakowa i Zakopanego miano pojechać w przyszłym roku, a tymczasem Pietrek pojechał (oczywiście razem z ukochanym rowerem) do osiedla szkolnego pod Warszawą.

Pietrek nie innego nie chciał robić przez cały dzień, jak tylko jeździć i jeździć. Oczywiście, że wychowawca nie mógł na to pozwolić. Były więc tylko wyznaczone godziny, kiedy wolno było jeździć i to niestety tylko po parku osiedla. Za furtkę, na drogę, ani już w żadnym razie na szosę — to już było surowo zabronione.

Park był wprawdzie duży, ale Pietrka nudziło jeżdżenie ciągle po tych samych alejkach, bez żadnych przygód, ani atrakcji. Pewnego dnia Pietrek zwołał na na-

radę kilku swoich kolegów, którzy również mieli rowery.

— Słuchajcie, musimy coś wymyślić. Wychowawcy nie można przekonać, aby nas wypuścił na drogę, to już zaczyna być niemożliwe takie kołowanie po dobrze znanych alejkach. Któregoś ranka wymyknijemy się cicho i pojedziemy sobie na wycieczkę.

Projekt wydał się chłopcom piękny, ale niemożliwy do wykonania. Przecież później byłaby okropna awantura mogliby zostać wydaleny z osiedla.

— Nie, to nie — powiedział Pietrek, ale postanowienia nie zmienił. Wobec tego pojedę sam — pomyślał — głupi tchórze.

No i pewnej niedzieli, korzystając z ruchu, jaki panował w osiedlu (przyjechało sporo rodziców) wymknął się na rowerze przez boczną furtkę.

Dzień był piękny i słoneczny. Czulo się już troszkę jesienią. Ale było jeszcze zielono. O zbliżającej się jesieni przypominała tylko różowa mgielka na polach i czerwieniące się jarzębiny. Jechało się cudownie. Nareszcie jakaś większa przestrzeń przed oczami, jakieś miejsce do rozwinięcia szybkości, Pietrek był szczęśliwy. Ujechał już spory kawałek drogi, chyba z pięć kilometrów, gdy zobaczył przed sobą niebieski pas wody. Rzeczka, wijąca się kręto wśród pól przecinała ścieżkę, po której jechał. Nie było mostu tylko wąska kładka bez poręczy. Nie namyślając się wiele Pietrek postanowił przejechać przez kładkę na rowerze.

Z dość dużego rozpędu wjechał na chwiejną i słabą kładkę. I nagle na samym środku kładki stracił równowagę. Zsunął się ciężko wraz z rowerem do wody. Spadając uderzył mocno lewym łokciem o kładkę. Tkwił tak przez chwilę napół w wodzie i nie mogąc się ruszyć. To był straszny moment, ręka na razie bolała bardzo. Ale po chwili ból się uspokoił. Pietrek zaczął wyciągać rower z rzeczki. Na szczęście nie było głęboko. Tylko rower wydawał się bardzo ciężki, nie wiadomo dlaczego.

Z trudem wy dostał się z wody, ciągnąc za sobą rower ze złamanym kierownikiem.

— No, na szczęście nic mi się nie stało — pomyślał — tylko szkoda roweru.

Wracał. Och! już znacznie mniej wesoły i znacznie mniej z siebie zadowolony. Ze-

by tylko udało mu się wejść niepostrzeżenie i zmienić ubranie.

Ale to się nie udało. W połowie drogi ręka zaczęła go bardzo boleć i puchła w oczach. Gdy dochodził do osiedla ból stawał się nie do wytrzymania. Nie myślał już więc o ukrywaniu swego opłakanego stanu, tylko porzuciwszy rower na werandzie udał się wprost do profesora.

Nie było czasu na wymówki i awantury. Wychowawca wpakował Piotrkę do samochodu i zawiózł go do Warszawy.

Okazało się, że ręka jest w dwóch miejscach złamana, Pietrek milczał, gdy mu składano, chociaż bolało go bardzo. Milezał i później.

Przyšedł ojciec do szpitala. Nie gniewał się. Pietrek i tak miał już dosta-

teczną karę. Złamana ręka, nadwyrężony rower. Tylko coś było w wzroku ojca, co bardziej bolało niż złamana ręka i większą sprawiał przykrość, niż zniszczony rower! Ojciec patrzył na swego syna z żalem.

Matka miała rację, że Pietrek jest jeszcze na rower na młody.

I właśnie to bolało najbardziej — wstyd. Bo przecież w rzeczywistości był już duży. Tylko jeszcze bardzo niemądry i bardzo nieposłuszny. I nie mógł sobie darować, że — zjechał mu się jechać przez chwiejną, nieznaną kładkę. Ale to już było widocznie przeznaczone. Prawda się nie ukryje.

Marta Jarzębowska

O Raczku-nieboraczku, o Chochliku-psotniku i o Kurce-srebrnopiórcie

Bardzo niezwykła była przyjaźń Raczka, Chochlika i Kurki, ale właśnie może dlatego, że niezwykła, była to przyjaźń na śmierć i życie.

A zaczęła się tak.

Pewnego dnia złowiono Raczka-nieboraczka w dużym stawie, gdzie urodził się i bardzo szczęśliwie wiódł życie u boku kochających rodziców. Złowiono go wraz z czterema kolegami z wieloma obcymi rakami w wielkim koszu. Raczek — nieboraczek namawiał swoich kolegów do ucieczki, ale gdy ci zbyt długo się namyślali, Raczek uciekł sam.

Biegł długo drobnym kroczkiem, aż minął miasteczko i znalazł się w dużym, ciemnym lesie. Tużaj poczuł się dopiero bezpiecznie — usiadł więc na mchu i odpoczywał.

Szybko jednak znudziło mu się to bezczynne siedzenie, powędrował tedy dalej, nucąc piosenkę, którą wymyślił sobie w czasie, gdy przybywał w koszu — więzieniu:

Jestem Raczek — nieboraczek
Pobrudziłem sobie fraczek,
Fraczek brudny, lecz czerwony
To mój kolor ulubiony. —

Uszedł już spory kawałek, gdy nagle usłyszał jakiś cieniutki głosik:

Jestem Kurka — srebrnopiórka,
Nie lubię mego podwórka,
Bo nie jestem kurą zwykłą

A żywię się tylko ćwikłą.

— Witam cię pięknie Kurko — srebrnopiórko — Jestem Raczek — nieboraczek.

Czy można wiedzieć, co robisz w lesie — to przecież nie jest miejsce dla kur.

— Ani tym bardziej dla raków — powiedziała kurka wychodząc zza krzaka jałowca. Pozwolisz więc Raczkowi, że zadam ci to samo pytanie. Co robisz w lesie?

Wtedy Raczek — nieboraczek opowiedział Kurce swoje przygody. Słuchała, uśmiechając się lekceważąco: Gdy skończył, powiedziała:

— Moje przygody są znacznie ciekawsze, ale ponieważ nie lubię długo mówić, opowiem ci moją historię w kilku słowach. Otóż wyobraź sobie, że uciekłam spod noża kucharki. Byłam już jedną nogą na tamtym świecie.

Uciekłam do lasu i nie mam zamiaru już nigdy wracać na podwórko.

— Ja chętnie wróciłbym do stawu, do mojej rodziny, ale mowy nie ma, abym tam teraz trafił.

— Wobec tego — powiedziała Kurka — proponuję ci przyjaźń. Pójdziemy razem szukać Chochlika - psotnika, który podobno pomaga wszystkim istotom zbłąkanym w lesie.

Raczek się zgodził chętnie.

Od tego dnia Raczek i Kurka nie rozstawali się ani na chwilę.

Razem mieszkali pod liściem paproci, razem znajdowali sobie pożywienie i razem szukali Chochlika.

Aż w końcu znaleźli go pewnego ranka na żalanej słońcem polanie.

Poznali go od razu. Tyle przecież o nim słyszeli. Był mały, malenki, miał niebieskie ubranko i czarne, kręcone włoski.

Chochlik chętnie zgodził się na ułatwienie życia w lesie Kurce i Raczkowi.

Od tego dnia zaczęło się życie łatwe i wesołe. Chochlik zapoznał swych nowych przyjaciół z największymi leśnymi dygnitarzami. Z najstarszym świerkiem i ze starą sową i z jeleniem i różnymi ptakami. Przynosił im jedzenie, śpiewał piękne piosenki i opowiadał śliczne bajki.

Wielka była przyjaźń Chochlika, Kurki i Raczka.

Aż pewnego dnia Chochlik powie-
dział:

— Nadszedł czas, abyście dowiedzieli się moi kochani prawdy.

Otóż, ani ty Raczku nie jesteś zwykłym rakiem, ani też Kurka nie jest zwykłą kurą. Jesteście zaczarowanymi dziećmi. Raczek jest Jasiem, a Kurka Małgosią. Zaczarowała was już bardzo dawno temu niedobra Baba Jaga, która miała w

tym lesie domek z pierników. Wprawdzie bardzo was polubiłem i niechętnie z wami się rozstanę, ale muszę jednak was z powrotem odczarować, abyście znowu stały się dziećmi i mogły powrócić do swoich rodziców.

Raczek i Kurka słuchali w osłupieniu, nie wierząc własnym uszom.

I nagle poczuli, że rosna, rosna bardzo szybko.

W końcu Kurka zobaczyła przed sobą zgrabnego chłopca, a Raczek jasnowłosą dziewczynkę.

I wtedy przypomnieli sobie wszystko! I Babę Jagę i domek z pierników i zczarowanie.

Nie mieli wprost słów podziękowania dla Chochlika, ale Chochlik nie lubił, gdy mu dziękowano. Mruknął coś tylko pod nosem i kazał dzieciom iść za sobą.

Odprowadził Jasia i Małgosię do domu i zniknął bez śladu.

Teraz Jaś i Małgosia żyją sobie szczęśliwie w domu rodziców, a Chochlik odwiezła ich od czasu do czasu w nocy i opowiada leśne nowiny.

O słoniu — leniuszku który nazywał się Toto

5.

CZERWONY CZŁOWIEK

Toto się zbliża uśmiechnięty —
prawdziwy okręt — nie zabawki
inny, niż były te okręty,
które wypuszczał do sadzawki,
gdy martwiąc mamę, że jest leni,
bawił się cały Boży dzień.

Morze niebieskie i bez końca
o brzegi bije w wieńcach pian —
Słonius uśmiecha się do słońca —
o, Toto dzisiaj wielki pan:

zwieził już puszcę, widzi morze
i w morzu się wykąpie może!

Nagle zatrzymał się zdziwiony:
z okrętu wyszedł po pomoście
człowiek, odziany w strój czerwony.
Słonius pomyślał: „Dziwni goście!”

Potem uśmiechnął się łaskawiej:

„Ach, on się jeszcze wózkim
bawił...”



Istotnie, ten czerwony człowiek
ciągnął za sobą wózek z kłatką...
oczy mu błyszczą źle spod powiek...
Toto obejrzał się za matką —
lecz mamy nie ma! A więc w tył —
i już ucieka co ma sił!
Czerwony zrobił groźną minę —
puścił się za nim w pogoń i
rozwinął zrecznie dużą linę
i złapał Total... Próżne łyzy!
napróżno jęczy, płacze z cicha...
Czerwony go do klatki wpycha...

Witold Zechenter